

Muzyka to walka

Własny Port – bydgoski zespół grający muzykę żeglarską, w którego skład wchodzi:

Piotr „Kierownik” Gąsiewski – gitara, harmonijka ustna, śpiew (kierownik zespołu)

Rafał „Ordak” Ordak – gitara, śpiew

Rafał „Chmiel” Chmiel – akordeon, śpiew

Piotr „Pepek” Szczepańczyk – gitara basowa, mruczenie pod nosem

Grzegorz Brzęczyszczkiewicz: Jakie były początki Własnego Portu?

Piotr Gąsiewski: Własny Port powstał, aby zapełnić pustkę w przestrzeni, która wytworzyła się po tym, jak Leonard Luther, zawiesił działalność i jego gitarzysta, czyli ja, stałem się na chwilę bezrobotny. Spotkałem wtedy Rafała Ordaka i stwierdziliśmy, że warto pograć coś razem. Znamy się bardzo długo, gdyż kiedyś opiekowałem się zespołem „Od czasu do czasu”, którego Rafał był założycielem i jego *Spiritus Movens*.

G.B.: Jak zmieniał się skład zespołu od czasu jego założenia?

P.G.: Skład zespołu był bardzo stabilny. Zmienił się tylko dwa razy. Może trzy, bo raz się poszerzył. Pierwsza zmiana miała miejsce, gdy nasz pierwszy basista, Marcin Kijak, złamał rękę i nie mógł grać. Postanowiliśmy wtedy dobrać jakiegoś muzyka w jego miejsce. Ponieważ zawsze chciałem grać z akordeonem, to moja małżonka zadeklarowała się, że znajdzie jakiegoś akordeonistę, by spełnić moje marzenie. Znalazła Rafała Chmiela. Nie wiedziała wtedy jeszcze, że on się wszędzie spóźnia (*śmiech*), ale pierwsze wrażenie było bardzo dobre.

Rafał Chmiel: Chciałem zdementować tę plotkę, że ja się wszędzie spóźniam! I jeszcze tę, że Piotr chciał grać z akordeonem. On chciał zawsze grać na akordeonie (*śmiech*), tylko nie miał do tego sposobności.

P.G.: Także jak możemy zauważyć, obie tezy Rafała są z gruntu nieprawdziwe (*śmiech*). W każdym razie, tak było z Chmielem. Marcin Kijak powrócił po kontuzji ręki, ale Rafał tak się już zadomowił, że postanowiliśmy zostać w poszerzonym składzie.

Rafał Ordak: Pomimo tego, że się ciągle spóźniał (*śmiech*).

P.G.: Tak i my też się spóźniliśmy, żeby mu powiedzieć, że to już koniec współpracy, i w ten oto sposób skład został czteroosobowy, co po dziś dzień sobie bardzo chwalimy. Później Marcin dostał posadę w innym mieście, przez co się przeprowadził i musieliśmy znaleźć innego basistę. W jego miejsce trafił do zespołu Sebastian Alichniewicz, który grał na wiecznym zastępstwie, do czasu gdy dołączył do nas Piotr Szczepańczyk i on już gra z nami na stałe do dziś dnia. Ta historia w tym miejscu ma dopiero swój początek.



G.B.: Czym dla każdego z Was jest muzyka?

R.O.: Czym dla mnie jest muzyka..? To wieczna walka.... z Chmielem – żeby się przestał spóźniać i byśmy mogli tę muzykę robić (*śmiech*)! A tak serio, to muzyka jest życiem. Jest

jak powietrze, potrzebna do oddychania. Pasją, sposobem na podładowanie baterii i odskoczną od problemów dnia codziennego.



R.Ch.: Muzyka jest doskonałym sposobem na wyrażanie siebie. Mogę wtedy zobaczyć reakcję innych ludzi na to, co robię. Bardzo to lubię. Mogę tym manipulować. Jeżeli ktoś nie potrafi robić innych rzeczy z dziedziny sztuki, jak ktoś ma taki talent do malowania jak ja, to zostaje mu tylko muzyka. Choć nigdy nie próbowałem recytować... ale mówię niewyraźnie, więc może i lepiej (*śmiech*). Próbowałem kiedyś pisać wiersze, ale nie umiałem do końca się w nich wyrazić.

P.G.: Zwłaszcza wiersze białe było słabo widać, bo pisałeś je na białej kartce (*śmiech*). Dla mnie muzyka jest czymś tak naturalnym, że nigdy nie próbowałem tego określać. Wiem jednak, że ciężko bym płakał, gdyby mi tego zabrakło. Nie pamiętam czasu, kiedy w moim życiu nie było muzyki. Odkąd sięgam pamięcią zawsze grałem na tym, co było pod ręką albo słuchałem czegoś, co grało – choćby wiatru w płocie.

R.Ch.: To jest fenomen, który ciężko nazwać i to nie tylko wśród muzyków. Nawet gdy się rozmawia z laikiem, to słyszy się stwierdzenia, że muzyka uspokaja albo podbudowuje. To też jest dla mnie motywacją do uprawiania muzyki.

Piotr Szczepańczyk: Rafał to dobrze ujął, że to pewnego rodzaju fenomen – ot, zjawisko fizyczne, rozchodząca się fala akustyczna w przestrzeni... ale potrafi poruszyć serce. Jaka inna dziedzina życia tak mocno oddziałuje na człowieka? Muzykę wykorzystuje się wszędzie – w reklamach, w filmie, słuchamy jej w samochodzie z radia czy w czasie porannego biegania z mp3. Życie bez muzyki byłoby puste, szare... Ona ma moc, by zmieniać ludzi i na nich wpływać.

G.B.: Jakie były początki muzykowania każdego z Was?

R.O.: Moja przygoda z muzyką zaczęła się w czasach młodości, gdy z harcerzami przemierzałem górskie szlaki i zawsze miałem poczucie, że z piosenką idzie się łatwiej. Plecak ciężki, nogi były zmęczone, a piosenka dodawała otuchy i siły. Pchała do przodu i szło się łatwiej. Na szlaku spotkałem różnych ludzi, którzy śpiewali różne piosenki, bardzo mnie to fascynowało. Ukradkiem spisywałem słowa, próbowałem podpatrzeć akordy, żeby później próbować samemu zagrać i zaśpiewać. Tym samym móc przekazać te piosenki dalej. To było moje pierwsze spotkanie z muzyką. Dzięki temu, że spotkałem odpowiednich ludzi, moja fascynacja rosła, a z czasem wraz z moim dorastaniem, gdzie pojawiły się żagle i walka z żywiołem, pojawiła się inna muzyka – żeglarska. Z jednej strony skrajnie różna, a z drugiej bardzo podobna do muzyki, którą znałem ze szlaku górskiego. Dawała siły i chęć do zmagania się z własnymi słabościami. Zacząłem samemu szukać drogi, by oddać ulotną myśl i napisać piosenkę. Tak to się zaczęło. Zawsze fascynowała mnie też jakaś strona poezji, co pomagało mi przy pisaniu tekstów. Chociaż moje pierwsze nagranie zostało zarejestrowane na magnetofonie marki Grundig, w 1980r., gdy miałem trzy latka.

P.Sz.: Nie było mnie jeszcze na świecie, nawet moi rodzice jeszcze się nie znali (*śmiech*)!

R.O.: Posiadam kasetę z tym nagraniem. Mój tata chcąc zorganizować mi czas, bym im nie przeszkadzał, bo byłem ponoć bardzo żywym dzieckiem, dawał mi mikrofon i na 45min mieli

spokój, bo taka długa była taśma. Wykonywałem tam piosenkę zespołu Abba „Super Trouper”, choć ja śpiewałem „ciul lupe ciul lupe” (*śmiech*), gdyż tak wtedy to rozumiałem. Zupełnie jak Chmiel, który w jednej z piosenek, zamiast „won na dek” śpiewa „bombadej”!

R.Ch.: Ja natomiast mam bardzo muzykalną rodzinę, wszyscy u mnie w domu śpiewali - tata w teatrze muzycznym, a mama wprawdzie tylko w domu, ale też bardzo ładnie. Dużo słuchało się muzyki, nawet u babci grało radio Calypso, a później szpulowy magnetofon. Potem był *Final Countdown Europe*, *Dmuchawce latawce wiatr*, *I just call, to say 'ajlowuj'* (jak ja to śpiewałem, gdy byłem mały). Mój tata dużo słuchał Presleya i Toma Jones'a. Przez to, muzyka ciągle była obecna i ja też dużo jej śpiewałem. Rodzice postanowili posłać mnie do szkoły muzycznej i wybrali dla mnie akordeon, za co jestem im bardzo wdzięczny... Ja miałem wtedy siedem lat, skąd mogłem wiedzieć co jest dobre, a co nie? Na pewno odegrali wielką rolę w mojej muzycznej karierze.

P.G.: Jak już wspominałem, muzyka zawsze była blisko mnie. Grałem na wszystkim, co wydawało dźwięk, nieważne czy ładny czy brzydki. Mój starszy brat grywał na gitarze, i to od niego dostałem swój pierwszy instrument. Później wpadła mi w ręce szkoła gitary Powroźniaka i jak ją otworzyłem, to przegrałem całą i nauczyłem się grać z nut, samodzielnie bez niczyjej pomocy. Gdyby Powroźniak żył, byłby ze mnie dumny.



P.Sz.: Ja natomiast nie mam w rodzinie muzyków (choć kilka pokoleń wstecz mam w drzewie genealogicznym nazwisko Stuligrosza), ale mój tata gra trochę na gitarze i akordeonie. Często organizował różne spotkania z przyjaciółmi przy ognisku. Pamiętam, jak uczył mnie śpiewać *Pieski małe dwa...* To może brzmieć banalnie, ale to był taki mój pierwszy akcent *słuchania* dźwięków. Rodzice zapisali mnie na lekcje pianina, ale szybko się zniechęciłem. Dopiero w gimnazjum, pod wpływem księdza Sławka Bara, który przychodził na katechezy do szkoły z gitarą zafascynowałem się graniem. Trafiłem do zespołu BDG, który grał przy bazylice, później do Pałacu Młodzieży i tam właśnie zaczęło się moje świadome muzykowanie.

G.B.: Co jest dla Was inspiracją przy pisaniu piosenek?

R.O.: Najczęściej życie. To co przeżyłem, to co mi w duszy gra. Staram się to przelać na papier. Najlepiej pisze mi się piosenki smutne, kiedy jest mi źle. Łatwiej smutek wyrazić niż radość. Ta druga sama w sobie jest tak euforyczna, że nie ma miejsca, by ją wyrazić jeszcze bardziej. Smutek natomiast potrzebuje się wylać – dlatego najładniejsze są smutne piosenki. Zawsze miałem marzenie, by napisać tak smutną piosenkę, by wzruszać nią do łez i cały czas za tym ideałem gonię.

R.Ch.: Zgadza się z Ordakiem – życie jest zbyt kolorowe i ekscytujące, by szukać radosnych tematów wziętych z niczego. Oczywiście takie radosne teksty są też potrzebne i jest wielu artystów, którzy się tego mają, ale ja sam wolę pisać o rzeczach prawdziwych, których sam doświadczyłem.

P.G.: Jak powiada klasyk – życie bogate jest we formy, a i w treści niebiedne. (*śmiech*)

R.Ch.: Trudno to wyjaśnić, ale podobnie jak Rafałowi, smutne piosenki pisze się mi łatwiej. Smutek potrzebuje ujścia. Z natury jesteśmy egoistami, toteż mniej chętnie dzielimy się naszymi radościami. Przy smutku natomiast szukamy wsparcia, żeby nam było lżej na duszy. Natomiast co do samej muzyki, to od dziecka lubiłem piosenki bardzo melodyjne. Nawet

w tzw. ciężkiej muzyce, której jestem dużym fanem, szukam energii w dobrej melodii. Po koncercie mam potrzebę, by móc zanucić sobie refren czy jakąś charakterystyczną zagrywkę. Kiedy tego brakuje, to nie wiadomo o czym dana piosenka w ogóle była. W melancholijnych utworach o dobrą melodię jest dużo łatwiej.

P.G.: Ja tekstów nie piszę, gdyż za mocno to przeżywam, muzykę sporadycznie... Znajduję ujście w graniu tego, co koledzy tworzą. Z kolei bardzo spełniam się w aranżowaniu piosenek. Kiedy słyszę nowy numer, od razu mniej więcej mam w głowie jego brzmienie, formę... Często Ordak przynosi piosenkę, w której „na starcie” trzeba wyrzucić połowę akordów, by zapobiec bałaganowi, i coś wtedy można z niej „ukręcić”. Mam taką intuicję dobierania akordów do melodii i uważam, że oszczędne środki dużo lepiej się sprawdzają, niż rozbudowana faktura. Przynajmniej w tym, co sami tworzymy.

P.Sz.: Dla mnie istotne są emocje. Nie da się wrócić z pracy czy uczelni i tak beznamiętnie sięść przy biurku i napisać piosenkę. Potrzebny jest jakiś bodziec – wydarzenie, spotkanie, przeżycie albo bardzo silna motywacja. Musi być ogień..! Teksty mogą być różne – albo o własnych doświadczeniach, albo o jakiś bohaterach, w których odnajdujemy część ideału... To odkrywanie naszych marzeń i pragnień, które w każdym z nas siedzą i często boimy się do nich przyznać czy nazwać je po imieniu. Temu mają służyć piosenki.

G.B.: Jak muzyka wpływa na Wasze życie osobiste oraz relacje między Wami?



R.O.: Życie prywatne, dlatego jest prywatne, że jest prywatne (*śmiech*). W każdym razie chłopcy są dla mnie jak rodzina i niejednokrotnie spędzam z nimi więcej czasu niż w domu. Bardzo sobie to cenię – tę znajomość, tę przyjaźń, która się już ciągnie od wielu, wielu lat. Kiedyś marzyłem, żeby tak jak The Beatles grać w knajpie za piwo i uznanie... Dzięki Własnemu Portowi, to się spełniło, pomimo, że jestem kompletnym amatorem.

R.Ch.: Relacje między nami są cudowne. Bardzo ciężko o dobrych przyjaciół – tak po prostu. W życiu każdy goni za swoimi sprawami, za pieniędzmi, nie ma wytchnienia. Ta chwila zatrzymania może zaistnieć w domu, z rodziną, a my oprócz tego, mamy możliwość złapania oddechu na wspólnych koncertach, na próbach... Poniekąd jest to przymusowe, w końcu to nasz zawód, ale robimy to z wielką przyjemnością. Wielcy z nas szczęściarze. Przez to, że tak często się spotykamy, więzi między nami się bardzo zacieśniają. Odbija się też to niestety czasem, na naszych rodzinach, jak już Ordak wspomniał. Zdarza się, że nasi bliscy są niezadowoleni, że ciągle nas nie ma, ale tak właśnie wygląda zespół – są chwile radości, jak i smutku czy nieporozumień. A i tak pomimo, iż nie mamy stażu jak Rolling Stones, to wszelkie nasze konflikty dusimy w zarodku i szybko wracamy na przyjazne tory. To dla mnie bardzo ważna sprawa.

P.G.: Dla mnie też nasze relacje są bardzo ważne. Zespół, to grupa ludzi, z którą się jest cały czas. Zresztą wiele osób to stwierdza, że na scenie widać, że my się lubimy – dzięki temu też nasza muzyka brzmi inaczej. Jak wspomniał Chmiel, mamy świadomość, że nie każdy ma takie szczęście znać trzech innych facetów, którzy są FACETAMI. Dużo osób, to „chłopcy” i mają „chłopięce” zainteresowania. Bywa z nimi w życiu różnie. Natomiast kiedy w zespole jest czterech FACETÓW, to nie ma specjalnych kłótni czy nieporozumień, bo można jasno i konkretnie wszystkie sprawy wyjaśnić. To jest piękne, że moi współpracownicy są zarazem moimi przyjaciółmi i mogę z pełną satysfakcją robić to, co lubię.

P.Sz.: Dla mnie też jest to niesamowita znajomość. Jestem najkrócej w zespole i zarazem jestem najmłodszy, ale świetnie się wszyscy razem dogadujemy. Od pierwszego spotkania było czuć, że chłopacy to niezłe ziółka (*śmiech*)! Do dziś dnia jestem pod wrażeniem, jak Ordak z Chmielem potrafią się „cichaczem” wyzywać na scenie, a parę minut później znów beztrudnie się razem śmieją..! To naprawdę niesamowite. Co do wpływu na życie osobiste, mam ten komfort, że dopiero jestem na studiach i nie mam na głowie kwestii podtrzymywania domowego ogniska. Faktem jednak jest, że przez koncerty, próby i uczelnię, bywam czasem w domu tylko na parę godzin snu w nocy.



G.B. Dlaczego muzyka żeglarska?

P.G.: Dla mnie muzyka żeglarska jest sposobem wyrażenia moich tęsknot za wodą. Ja się wychowałem nad jeziorem, na łódkach i kajakach spędziłem bardzo dużo czasu. Drugim czynnikiem było miejsce, gdzie przez długi czas grałem, czyli bydgoska Barka na Brdzie. Był to zatem mocny fundament, by taka muzyka mogła zaistnieć.

R.O.: Muzyka żeglarska była dla mnie naturalną kolejną rzeczą wraz z fascynacją żeglarstwem. Z Piotrem znam się tyle czasu, że Pepek żyje niewiele więcej (*śmiech*), a Kierownik sercem zawsze jest na Mazurach, blisko wody. Pomysł, by zacząć grać ten rodzaj muzyki był zatem jakby nieunikniony. Początkowo szukaliśmy piosenek popularnych, innych wykonawców, a z czasem zaczęliśmy tworzyć własny repertuar, pokazujący jak my widzimy tą muzykę, jak ona nam w duszach gra. Poza tym, jest to dość niszowa muzyka, nie ma jej tak wiele, dzięki czemu łatwiej nam jest być oryginalnym w tym, co robimy.

G.B.: Gracie w klubach, pubach, restauracjach, na festynach i podczas wielu innych imprez, przez co Wasza publika jest bardzo różnorodna. Jak jesteście odbierani? Jak ci ludzie z różnych środowisk reagują na Waszą muzykę?

R.O.: Nasza muzyka jest na tyle otwarta, że nawet kogoś, kto z żaglami niewiele miał w życiu wspólnego, trafia ona w ten czuły punkt w duszy, który sprawia, że człowiek chce się ruszać, chce tańczyć. Kontakt z publiką jest bardzo ważny, to wszystko żyje. Dzięki temu szybko zyskujemy sobie sympatię słuchaczy. Każdy koncert jest inny, ale zawsze rozmawiamy z publicznością – to świetnie niszczy mur nieufności.

R.Ch.: Jeszcze nie miałem sytuacji, żeby po koncercie ktoś podszedł i powiedział, że mu się nie podobało. Trafiamy do ludzi. Myślę, że istotne jest to, iż jesteśmy naturalni. Nawet gdybyśmy grali inny rodzaj muzyki, ale z tym samym zaangażowaniem, też zjednalibyśmy sobie serca słuchaczy. To kwestia ludzi, umiejętności, wnętrza... To najlepsza droga do dotarcia do publiki.

P.G. Dokładnie tak! To wszystko prawda! Jako szef zespołu otrzymuję mnóstwo maili z wyrazami sympatii oraz podziękowaniami za dobrze spędzony czas na naszych koncertach. Często padają pytania o płytę, gdyż ludzie chcą zabrać naszą muzykę do swoich domów, czy podzielić się nią ze swoimi bliskimi. Tak to się układa, że niezależnie od miejsca w którym gramy, czy to jest pub żeglarski, czy miejsce zupełnie nie związane z wodą, trafiamy do ludzi, właściwie odczytują nasze intencje. Na pewno nie bez znaczenia jest też umiejętność grania, to zawsze zostaje docenione, bez względu czy się to komuś podoba czy nie.

P.Sz.: Tak jak chłopacy wspomnieli, ten aspekt muzyczny jest bardzo ważny. Utwory pisane są na trzy głosy, czasem na cztery. Rafał ma dobry głos, Piotr jest świetnym gitarzystą, Chmiel to „pieprzony mistrz swojego instrumentu”* ... (*śmiech*) Wykorzystany talent zawsze jakoś zachwyca ludzkie serca. Do tego życiowe teksty, o sprawach bliskich każdemu z nas... to chyba sedno.

G.B.: Jakie są Wasze plany na przyszłość?

P.G.: Ciągłe pracujemy nad płytą, niestety w toku nagrań mnóstwo kłód spada pod nasze nogi, dlatego dzień premiery wciąż się przesuwa. Natomiast mamy w planie wiele koncertów, dużo festiwali, gdzie chcielibyśmy zagrać i się pokazać z naszą twórczością oraz piosenkami autorskimi. Dobrze, gdyby szersze grono słuchaczy mogło się o tym jak najszybciej dowiedzieć.

R.Ch.: Dla mnie niezmiennym życiowym celem, który idzie w parze z Własny Portem, jest zagrać w Carnegie Hall, albo przynajmniej dla bardzo dużej publiczności, np. dla 10 tys. osób. To moje marzenie. Poza tym, po prostu grać jak najwięcej!

R.O.: Dla mnie celem jest koncert z autorskimi piosenkami, o roboczej nazwie *Piosenki z łądu*. Zawsze chciałem z tym materiałem wystąpić i przyjdzie kiedyś ten dzień, gdy z Własnym Portem popełnimy taki czyn.

P.Sz.: Ja chciałbym skończyć studia. Jest to dla mnie bardzo istotne, by mieć pełne, muzyczne wykształcenie. No i żeby napisać jeszcze parę ciekawych dźwięków w życiu. Poza tym, tak jak Chmiel chciałbym zagrać w Nowym Jorku, choć zacząłbym od „naszego podwórka”, tj. od Sali Kongresowej w Warszawie. Na wszystko przyjdzie czas.

G.B.: Dziękuję za poświęcony czas i życzę wielu sukcesów na Waszej artystycznej drodze! Z niecierpliwością będziemy czekać na pierwszą płytę Własnego Portu!



Zdjęcia: K.Gnoza

* Anegdotę związaną z tym określeniem opowiemy przy innej okazji – przyp. R. Ordak.